ŁOWIEC POLSKI



Fot. Jan Bończa Markowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 39 (593). 27 WRZEŚNIA 1930 R.

Myśliwski Konkurs Fotograficzny.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO”, dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, zwyczajem dorocznym, ogłasza niniejszem myśliwski konkurs fotograficzny i wzywa ogół myśliwych do nadsyłania ciekawych i pięknych zdjęć łowieckich, które nadawałyby się do reprodukcji w naszem piśmie.

Nazwisko należy pomieścić w zamkniętej kopercie, zaopatrzonej w to samo godło, co i nadesłane fotografje.

Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie oraz trofea łowieckie.

Jako nagrodę I wyznaczamy zł. 150, drugą — zł. 100 i trzy następne — po zł. 50.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 1 października. Nagrodzone fotografje zostaną zamieszczone w „Łowcu Polskim”; pozostałe zaś — zależnie od uznania Redakcji.

Jury stanowi Komitet Redakcyjny.

Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie dobrej reprodukcji — jest dobra, ostra fotografja na papierze bromosrebrnym; kolor jej nie może być bronzowy (sepjowy).

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO”.



Przed gajówką na Polesiu. Fot. Józef Matuszak.
(Fotografja wyróżniona na zeszłorocznym konkursie „Łowca Polskiego").

KILKA STRZAŁÓW.

(Zob. Nr. 38).

W półtora miesiąca później byłem w Święcicy, głuchej wioseczce poleskiej, leżącej w niedalekiem sąsiedztwie olbrzymiego jeziora Wygonoskiego i przepływającej w jego pobliżu Szczary.

Wyruszyłem z miejscowym leśniczym łódką kanałem Święcickim, aby obejrzeć jezioro na wiosnę i może zapolować na kaczory.

Minęliśmy osiedla bobrów na kanale i znaleźliśmy się na krętej Szczarze, skąd znów szerokim kanałem Ogińskiego dojechaliśmy do jeziora.

W małym domku na brzegu olbrzymiej płaszczyzny wodnej spędziłem trzy noce, kąsany niemiłosiernie przez niezliczone roje komarów. Ranki, dnie i wieczory spędzałem na toni jeziora, to błękitnej od słonecznych fal, to srebrzystej lub opalowej w blaskach świtu i zmierzchu. Łaziłem też po otaczających jezioro, dzikich bagnach i mszarach.

I tu właśnie jednego ranka natrafiłem w odległości paru kilometrów od domku, na świeżutkie tropy łosi. Niewiele myśląc, puściłem się w ślad. Trójlufka poszła na plecy, a do ręki wziąłem gotowy do „strzału", aparat. Posuwając się z największą ostrożnością, bez szelestu, po dwóch godzinach dojrzałem zdaleka na sosnowym mszarze ciemną sylwetkę. Widząc po tropach, że mam do czynienia z klępą-matką, miałem nadzieję, że uda mi się dotrzeć do niej na odpowiednią metę.

Porzuciłem trop i zaczęło się mozolne podkradanie do ostrożnego zwierza. Łosza skubała świeże pędy łozowe i rosnące tu kępy kaczeńców, zniżając co chwila głowę. Z tych chwil korzystałem, by posuwać się ku niej w prostym kierunku, nie dając znaku życia, gdy zwierzę podnosiło głowę i rozglądało się wkoło. Podszedłszy bliżej, zauważyłem dwoje cieląt, rudych i wysokonogich, które kręciły się koło matki, to ssąc ją, to skubiąc również rośliny błotne. Podchodzenie trwało z pół godziny, a może i dłużej. Serce biło jak młotem, z wielkiej emocji, wzrok napawał się ślicznym obrazkiem z życia dzikiej puszczy, rodzinną sielanką tej rzadkiej jeszcze obecnie, a tem cenniejszej zwierzyny. Stałbym tak godzinami i patrzał, ale plaga komarów uniemożliwia o tej porze roku takie obserwacje. I tak już ledwo wytrzymać potrafiłem, cały oblepiony gęstą, brzęczącą masą krwiożerczych owadów, od których oganiać się nie mogłem, nie chcąc ruchami rąk zdradzić swej obecności.

Wreszcie mam ją na pięćdziesiąt kroków, dłużej zwlekać nie można, gdyż oto spostrzegła mnie, patrzy ku mnie z nastawionemi uszami, oba małe też nagle znieruchomiały. Szybki ruch ręki, wyciągający szyber. Trzask. Gotowe. Odwróciłem się i wolnym krokiem, nie oglądając się, zacząłem odchodzić po swych uprzednich śladach. Po chwili zerknąłem za siebie: łosza stoi, jak uprzednio, bez ruchu, a zatem dobrze — nie spłoszyła się.

Coraz dalej zostawiam poza sobą piękną grupę, już i komary mogę odpędzać, naprzód ręką, potem ułamaną gałązką. Polowanie się udało. A czeka mnie je-

szcze druga emocja: wywoływanie kliszy, to niecierpliwe wyczekiwanie, co się ukaże na białej, matowej powierzchni, zanurzonej w odpowiednie płyny; jaki będzie ostateczny rezultat tych trudów, niewygód, a nieraz i cierpień fizycznych. W tym wypadku rezultat dodatni: znów widzę przed sobą nastawione, czujne uszy, zdjęcie niepierwszorzędne — trochę ostre, gdyż robione z ręki, w dzień nieco mglisty, na filmie średniej czułości.

* * *

Jesień późna nadeszła, a wraz z nią nowa wyprawa na Polesie. Wypadło mi tak, że musiałem się przedostać z Chotynicz, gdzie byłem u nadleśniczego, za Szczarę do nadleśnictwa w Zagórzu. Zamiast jechać naokoło koleją przez Baranowicze i Krzywoszyn, wyruszyłem wprost przez puszczę. Droga była fatalna. Prosty, chłopski wózek to tonął w błocie, to skakał jak piłka, po niemieckich „nakładkach", napół przegniłych mostowinach, upiększających dotychczas wielką część poleskich dróg. Pozostawiłem więc tłomok z rzeczami na wózku, a sam, ze strzelbą i aparatem, ruszyłem ścieżkami naprzełaj do Szczary.

Przeprowadzany kolejno przez gajowych wzdłuż terenu ich obchodów, spędziłem cały dzień w dzikich lasach. Pogoda była przyjemna, ciepła i cicha, mgliste, jesienne powietrze oblekało przejrzystym tumanem dalekie perspektywy leśne, koronka nagich gałęzi drzewnych fioletowymi cieniami roztaczała się przedemną.

Cudowna to była droga. Obuty w skórzane łapcie, lekką stopą kroczyłem ledwo znacznemi ścieżynami przez bagna, bory, mszary i łąki, napawając się wonią jesieni, rozlaną szeroko wśród lasów.

Spotykałem po drodze zwierzynę. Kilka razy dostrzegłem sarny, mknące w polotnych susach przez łozowe krzaki, w świerkowej gęstwinie ciemnego ostrowu nieraz burknął znagła spłoszony jarząbek, na mszarze załopotały skrzydła głuszcza. Pod wieczór niedaleko rzeki ujrzałem nagle wzbijające się przed sobą dwa duże ptaki, które w wielkich kręgach szły ku górze, majacząc plamami szerokich skrzydeł na tle perłowego nieba.

Skierowana ku nim lornetka ukazała mi sylwety dwóch wspaniałych orłów-bielików, widocznie starych, bo mających wyraźnie białe ogony, a jasno-płowe szyje. Śliczny był widok potężnych ptaków, wzbijających się ku górze i pławiących się w nieruchomem powietrzu nad swem królestwem.

Tu po raz pierwszy przeleciała mi przez głowę myśl: jakby to było wspaniale, żeby móc na kliszy fotograficznej otrzymać to, co daje pole widzenia myśliwskiej lornety.

Od tej chwili zacząłem pracować, naprzód tylko teoretycznie — w wyliczeniach i projektach, później praktycznie w rzeczywistej budowie — nad stworzeniem aparatu, umożliwiającego podobne zdjęcia. Pół roku pracy dało w rezultacie nowy typ strzelby z kolbą normalną, ale mającą zamiast lufy, podłużną ciemnię, tworzącą aparat, zaopatrzony na końcu w odpowiedni objektyw. Przy celowaniu, niby ze strzelby, punkt znajdujący się na linji wizjera i muszki trafia w środek kliszy.

Ale wracam znowu do faktów zeszłej jesieni. Późnym wieczorem dotarłem wreszcie do Szczary, naprzeciwko leśniczówki w Tuchowiczach. Tam w nocy doczekałem się rzeczy, które musiały na wózku nałożyć drogi, jadąc przez most w Horodyszczu.

Nazajutrz raniutko, uzbrojony w aparat i lornetę, wyruszyłem do uroczyska „Kul", mając nadzieję spotkać się z łosiami. Ubrany lekko, ale z kożuszkiem przytroczonym za plecami, w trzy godziny przeszedłem 16 km., dzielące mnie od zachodniego brzegu „Kula", gdzie najłatwiej można było się spotkać z rzadkim zwierzem, ponieważ tamtędy prowadził weksel za rzekę — do miejsc rykowiska.

Teraz wprawdzie pora rykowiska dawno już przeminęła, ale ciąg zwierza pozostawał ten sam i najwięcej było szans ujrzenia łosia, trudnego pozatem do spotkania na przestrzeni 5.000 ha, które zajmuje „Kul".

Cichy, bezwietrzny dzień minął na wałęsaniu się wzdłuż rzeki po żółtych trawach i oczeretach, wśród bezgranicznych połaci, porosłych łozą, przy poszarpanych w nierówną linję, brzegach odartego już z pożółkłych liści, lasu. Chmurny zmrok zastał mnie przy niewielkiem ognisku na skraju lasu, w gęstych łozach i trzcinach. Tu na wielkiej kępie miękkiego mchu przedrzemałem długą, jesienną noc obok tlącego zarzewia spopielałego ogniska, pod przykryciem ciepłego kożuszka.

O pierwszym brzasku świtania wyruszyłem znów na dalszą wędrówkę — ciche przemykanie się po bagnistych ostępach zachodniej części „Kula". Koło po-



łudnia zatrzymałem się na posiłek przy polanie, pokrytej zwalonymi pniami brzozy. Ukryty za drzewem, siedziałem na kępie, żując powoli kęsy chleba dobytego z plecaka. Zadumanym wzrokiem błądziłem po białych kolumnach brzóz, po misternym rysunku gałęzi, po wyniosłych czubach świerkowego ostrowu, położonego po przeciwnej stronie polany.

Mgliste, ciepłe powietrze, nasiąkłe wonią butwiejących liści, mokrych, zwiędłych traw i kory drzewnej, nieruchomą oponą legło na otaczający mnie, dziki, pierwotny świat; zdawało mi się, że ten daleki od ludzi zakątek jest w tej chwili taki sam, jakim był tysiąc i dwa tysiące lat temu, że cofnąłem się wstecz ku zaczątkom kultury ludzkiej.

Przyroda zamarła. Ani jeden dźwięk nie przerwał monotonnej ciszy, ani jeden ruch nie mącił bezwładu letargu, który ogarnął ziemię i niebo, i wszelkie żywe stwory.

odległości mniej-więcej 80 kroków. Posuwały się tak cicho; że nie dochodził mnie najlżejszy szelest; sunęły, niby ciemne duchy, płynące tuż nad ziemią.

Przodem szła łosza, za nią o 10 kroków, niezły byk o łopatach 4-palczastych.

Z aparatem gotowym do strzału, w ręku, podnosiłem się zwolna ze swej kępy, by otaczające mnie gałęzie niskiej łozy, nie zasłaniały widoku. Właśnie i łosza zauważyła widać ten ruch podejrzany, bo stanęła nagle i zwróciła łeb ku mnie. Sucho trzasnęła migawka i w tej samej chwili spostrzegłem, że stojący ztyłu byk, widoczny dla mnie w całości, mógł być zakryty dla niżej trzymanego aparatu, przez pochyły pień brzozy.

Nie namyślając się, zdarłem papierek film-paku i, nie licząc się już z ruchami rąk, nakręciłem na nowo migawkę. Czujne jednak zwierzęta nie wytrzymały. Ostro skręcając w las, poszły szybkim kłusem



Przeprawa przez Czeremosz. Fot. Wład. Müller.
(Do art. „Wśród hucułów" na str. 791).

Raptem drgnąłem i ręka, niosąca do ust jedzenie, znieruchomiała w pół drogi. Wprost przedemną w krzakach łozy u brzegu ostrowu zamajaczał jakiś nieuchwytny cień. Wlepiłem oczy w to miejsce i czekałem. Po chwili znów ruch niewyraźny. Jeszcze moment i pomiędzy gęstwiną poplątanych gałęzi dojrzałem ciemną postać łosia, idącego ku mnie na kulawy sztych.

Doczekałem chwili, gdy zniknął mi znów za zwartym krzakiem, i szybkim ruchem przesunąłem z poza pleców na kolana, futerał z aparatem. Potem nieznacznym ruchem rąk wydostałem go na świat Boży, możliwie cicho otwarłem i nastawiłem odpowiednią migawkę.

Gdy podniosłem znów głowę, spostrzegłem dwie sztuki, idące brzegiem polany, bokiem ku mnie, w odwprost odemnie, głośnym trzaskiem gałęzi, chlupotem wody błotnej i stukiem racic o korzenie, oznajmiając szeroko wkoło o przerażającej przygodzie.

Powtórne zdjęcie, zrobione za niemi, nie okazało już ani śladu zwierzyny, a tylko pusty las, taki, jak go widziałem przedtem, w godzinie nieruchomej kontemplacji i rozmyślań.

Pierwsze zdjęcie dało niezły, chociaż nieco przez odległość zatarty obraz pięknej pary, byk jednak tak, jak przypuszczałem, w przedniej części zakryty był przez brzozę.

• • •

Nadchodziła wiosna tegoroczna. Wczesne ciepła spędziły śnieg w polach i borach, tylko na błotach leśnych lód szary i porowaty trzymał się jeszcze.

a w wielu miejscach był tak twardy, że można było śmiało po nim chodzić. Znalazłem się w tym czasie w puszczy Rudnickiej pod Wilnem i miałem z sobą dla wypróbowania, nowy swój aparat w kształcie strzelby z kolbą do celowania. Chodziło o zdjęcia przybliżające 3 — 4 razy i rzucające na kliszę formatu 4½ × 6 cm. obraz, równający się polu widzenia 6-krotnej Zeissowskiej lornety.

Gdy 20 marca pod wieczór przybyłem do myśliwskiego domku w Sędkowie, położonym w sercu puszczy, pogoda zmieniła się nagle. Silny, chłodny wiatr zachodni pędził, nisko nawisłe, wełniste chmury, z których prószył już chwilami drobny deszczyk. A nazajutrz, gdy o świcie obudziłem się w małym, jasnym pokoiku na piętrze, świat cały był biały, niby w grudniu, a w powietrzu rozjaśniającem się od zenitu, wirowały resztki puchów śnieżnych.

W godzinę później zaświeciło słońce, które się przedarło przez rozpełzające się chmury, i oślepiającym blaskiem zajaśniały ubrane w białe szaty, sosny, a błękitne cienie legły na lśniącym pokrowcu, zaścielającym jedną oponą bujne wrzosy.

— Idziem szukać łosi! — zawołałem na gajowego Babińskiego, który meldował mi siódmą godzinę, tak, jak to mu w przeddzień poleciłem.

Wnet też ruszyliśmy, kierując się w stronę jeziora Kiernowskiego, gdzie w błotnistych młodniakach sosnowych trzymały się łosie przez zimę i gdzie przebywały zapewne dotychczas.

Cztery godziny włóczęgi nie dały jednak wyników, i dopiero o południu, gdy zataczając wielkie koło na moczarach przyjeziornych, skręcaliśmy już ku domowi, natrafiliśmy na świeży trop trzech sztuk, prowadzący ku jezioru.

Oczy Babińskiego zabłysnęły.

— Panie — rzekł — jeżeli one nie przeszły za jezioro, to będą tu, na tym ostrowie, a stamtąd jeżeli pędzić, to pójdą nazad, ot jak ta łoneczka kończy się. Proszę tam stanąć i czekać, a ja od jeziora zajdę.

W milczeniu rozeszliśmy się. Dochodząc do końca „łoneczki", przekonałem się, że to, co brałem za leśne bagno poza nią, było tylko wąskim przesmykiem, za którym szła dalej znowu łączka na szerokość paruset kroków. Idealne stanowisko! Ukryty za drzewem i kępą łoziny, miałem na obie strony daleką perspektywę przez rzedniejące ku łąkom, niskorosłe łozy.

Zamarłem w oczekiwaniu. Chwile płynęły bardzo wolno, ale z taką intensywnością wrażały się w świadomość i pamięć, że nie zapomnę ich nigdy. Cudowny, bezbrzeżny błękit ze śmiejącem się, przejasnem słońcem, dech nadchodzącej wiosny w szerokiem przestworzu, ruda koronka łóz na tle różowego w niebieskie desenie, śniegu, a w dali liljowe czuby brzóz, zalane powodzią światła, strzępiaste świerki i zrumienione w słońcu, kopuły wielkich sosen na suchych ostrowach. Niezapomniane, prześliczne chwile, gdy człowiek wchłania w siebie całe piękno dzikiej przyrody, gdy napiętymi nerwami łowi wszelkie przejawy jej życia, oddycha jej przedziwną wonią, a jednocześnie zapomina o przerażającym, ludzkim świecie i widzi tylko ten jedyny, promienny, bez skazy, wiecznie nowy, a zawsze ten sam.

Wzruszające chwile oczekiwania, gdy lada moment spodziewałem się ukazania ciemnych, a tak mi drogich postaci leśnych, chwile nadziei, że nadejdzie czas, gdy będę oto mógł uwiecznić ich polotny kłus przez białą, niepokalaną płaszczyznę halizny leśnej, utrwalić ich ruchy, tak dostosowane do otaczających warunków, ruchy, dla wielu obserwatorów może niezgrabne i ciężkie, ale jakże typowe, jak pełne starej, odwiecznej rasy, jak nasiąkłe nieuchwytnym elementem dzikiej puszczy, — te chwile wyczekiwania pozostaną mi do śmierci w pamięci.

I choć na niczem skończyła się ta przygoda, choć łosie wyszły bokiem i nie widziałem tego dnia nic, nie uważam tych godzin za stracone, albowiem niejedną wiekuistą prawdę dojrzały wówczas oczy mej duszy, niejedna tajemnica bytu uchyliła rąbka swej zasłony, a nieśmiertelne piękno wszechświata dziwnie potężnie przemawiało do mego ducha i słowa jego pozostaną ze mną nazawsze.

* * *

Zaraz po Wielkiej Nocy znowu byłem w puszczy. Tuż koło Sędkowa leży wśród suchych borów i wypalenisk małe, trawiaste błotko, dokąd stale w tym czasie przylatywały na żer żórawie. Na tej to ostrożnej zwierzynie chciałem spróbować nowego aparatu. Parokrotne jednak wysiłki nie dawały rezultatu: to właśnie nie było żórawi, to wbrew logice łaziły akurat po polanie leśnej, a nie po błotku, i same niedostrzeżone, widziały z boku skurczoną figurę skradającego się myśliwego.

Dopiero kiedyś, jadąc wózkiem i wdrapując się wolno na piaszczystą górkę, ujrzeliśmy znienacka, siwą sylwetkę na tle szaro-żółtej, zeszłorocznej osoki, kroczącą poważnie w odległości 150 kroków. Aparat, zawinięty w derkę, stał przy mnie. Nerwowymi ruchami wydobyłem go na świat Boży, a przez ten czas, flegmatyczny konik szedł wolnym krokiem wzdłuż błotka. Oto już wszystko gotowe, łapię na muszkę, zaniepokojonego zatrzymaniem się wózka, ptaka — pstryk! — jest. Wszystkie te manipulacje wydały się jednak mocno podejrzane czujnemu ptakowi, bo oto niby sztandar na wietrze, rozwinęły się do lotu szerokie skrzydła, i żóraw ukosem wzniósł się ku górze, przelatując przed nami i rysując swą piękną, poważną sylwetkę na tle pogodnego, wiosennego nieba.

(Dok. n.). WŁODZIMIERZ KORSAK.



Ranny podjazd 17.8 w Gościeradowie. Mój setny i nast. rogacze.
Fot. Miecz. Hofman.

WŚRÓD HUCUŁÓW I JELENI.

(Zob. Nr. 38).

Kiedy jadę konno lub wózkiem w huculskie koniki, zawsze obserwuję te poczciwe stworzenia, nieocenione na tutejsze drogi i warunki. W nasze konie z równin, czy wózkiem, czy konno, w wielu miejscach niepodobna byłoby przejechać; nasz koń ucieka przeważnie, ze złej drogi, chcąc się czemprędzej wydostać, a tu cała sztuka polega na tem, aby szedł on uważnie, ostrożnie i powoli, co znakomicie i inteligentnie robi. Pod siodłem przenosi jeźdźca lub rzeczy, po niedowiary trudnych do przejścia, ścieżkach; zanim nogę postawi — bada, czy się nie zapadnie w jaką dziurę lub nie załamie pod nim, nadgniły okrąglak, którymi wiele dróg wyłożonych zostało z czasów wojny; po kamieniach, które kręcą się pod kopytem, stawia nogę wówczas, gdy się przekona, że stanie pewnie, w przeciwnym razie szuka innego miejsca; im gorsza droga, tem wolniej i uważniej posuwa się z nogi na nogę. Pod górę lub z góry, choć brak gdzie wydeptanej ścieżki — raz w lewo raz w prawo dla złagodzenia spadku, sam kręci tak, aby mniej było stromo.

Obserwując pracę nóg konia, szczególniej schodzącego z góry, widać, iż kości i ścięgna pracują silnie i muszą być w porządku, a w selekcji hodowlanej sama natura dopomaga, wyrzucając z użytku osobniki, którym wady kostne kończyn lub słabe ścięgna, a nawet za duży wzrost konia, przeszkadzają w pracy. Pozostają zatem najwięcej nadające się, czyli koniki małe, zwięzłe, na niskich, zdrowych, suchych nogach, o bardzo silnym grzbiecie i dobrem ożebrowaniu. Dość duży procent koni bywa maści gniado - łaciatej.

Spotykane stada bydła i owiec, zła droga, oraz gdzieniegdzie jadący naprzeciwko wózek — opóźniają jazdę naszą: często czekać trzeba, aż wąska droga będzie wolna, by można było dalej huśtać się po wybojach i trząść niemiłosiernie po kamieniach.

Gdzie gorzej — schodzę, i pieszo, skacząc, wymijam kałuże, dołki, kamienie, kloce, i obserwuję, jak wózek skaczący przedemną, rzucany po nierównej drodze, podbijany przez kamienie — zarzuca się chwilami na samą krawędź urwiska nad rzeką, a miejscami bywa tak wąsko, że skalista ściana z drugiej strony nie pozwala skręcić na drogę; szczęśliwie wózek więcej nie obsuwa się i koła kręcą się dalej.

W takich miejscach stale wysiadam; nietylko, aby nie tłuc się, ale trochę ze strachu przed wywróceniem; a do wody miejscami daleko.

Wreszcie trochę lepsza droga, więc siadam; podjeżdżamy na jakąś górkę; tam w najwyższem miejscu furman staje i oznajmia mi, że jeśli się boję, to tu trzeba wysiąść: „tutki fajna góra, bude pogano" (tutaj porządna góra i będzie źle). Domyślam się, że skoro on sam proponuje — to wysiąść trzeba! Idę z tyłu i widzę, jak wózek z szaloną szybkością stacza się w dół, podrzucając hucułem i memi rzeczami, aż się kurzy. Na pochyłości tej, niżej jest zakręt dość ostry; koniec dyszla widzę w górze, trzymany trzęsącymi, zadartymi łebkami koników; wszystko na zakręcie ginie i uspokajam się, że żaden ze słabych naszelników nie pękł i wszystko nie stoczyło się do rzeki.

Kiedy zaprząg zginął mi z oczu na zakręcie, — słyszę huk i dudnienie. Włosy dębem mi stają; myślę, że teraz właśnie gruchnęło to wszystko gdzieś i potłukło się; zbiegłszy w dół, uspokoiłem się, gdyż był to tylko mostek, który dudniąc swym pokładem, leżącym luzem, tyle hałasu narobił. Wózek już po drugiej stronie; szczęśliwie koń żaden nogi nie złamał, zgrabnie uciekając z przekręcających się okrąglaków, które furman, dla wygody innych układa możliwie równo; czynność ta przypomina mi jednak zastawiane pułapki.

Już podobno nie daleko, to znaczy jeszcze najmniej godzinę będziemy jechali.



Zdjęcie z naganki na dziki, urządzonej przez p. nadleśniczego Cyżewskiego w nadleśnictwie Różanna (pow. Bydgoszcz) dnia 12.8.1930 r., gdzie padło w I-szym dniu 2 sztuki, w drugim dniu 3 sztuki, w tem 4 odyńce i 1 maciora.

We wsi Zelene zatrzymujemy się przed sklepem przydrożnym; furman rzuca, z pod siedzenia wydobytą garść siana koniom, które zjadają je chciwie. Siano jest pyszne: aromatyczne i żyzne. Wogóle w górach pastewnik i siano jest doskonałe. Obserwuję to również po zdrowo wyrośniętych, kościstych i dobrze utrzymanych sztukach starszego bydła i jałowizny, które przechodzą obok. Bydło przeważnie maści czerwonej, więcej jasne, niektóre żółte; łby prawie wszystkie białe i białe łaty po ciele, przypominają z wyglądu simenthalery. Owce duże — białe, lub czarne z łyskami z obfitą wełną, wiszącą w kręconych lokach. Trafiają się sztuki kulawe, podbite po dłuższej, kamienistej drodze; przeważnie jednak idą wesoło, poskubując trawkę przydrożną, a wiele sztuk bydła i owiec niesie przyczepione dzwonki na szyi w celu odstraszania drapieżników.

Woźnica mój, załatwiwszy sprawy swoje w sklepiku, wychodzi i zbieramy się w dalszą drogę, która już do samego końca była znacznie lepsza; jakoteż trochę kłusikiem, trochę stępa, dotarliśmy do celu.

Ten sam widok, szczekanie psów, przywitanie gospodarza i szum nieustanny tuż płynącego Czeremosza, żywo przypomina mi zeszłoroczny tu pobyt.

Na miejscu potwierdzają się wiadomości, że jelenie jeszcze nie ryczą; jest zawcześnie wogóle, a przytem za ciepło. Wilków dużo, które prawdopodobnie płoszą rykowisko; niedźwiedź był, ale dość dawno, nie pokazywał się już więcej.

Z panem G., gospodarzem naszego terenu łowieckiego, układamy plany działania: rozsyłamy po strzelców i przewodników, aby zdali relację z dotychczasowych obserwacyj i rozmyślamy nad dalszymi podsłuchami. Przyjaciele moi: Witold K. i Władek M. mają nadjechać dopiero za tydzień.

Nazajutrz przybywa część ludzi wyznaczonych do polowania; typy znane mi z poprzednich lat. Powitania — naturalnie serdeczny uścisk dłoni; twarze rozradowane, a uwierzyłem im z łatwością, iż cieszą się na rozpoczęcie polowania, gdyż przeważnie lubią to z natury, a przytem mają na widoku zarobek i naddatki. Dopytują się, kiedy przyjadą „Pany", kto przyjedzie, czy zdrowi?

Dowiadują się, że jeszcze czas:

„Niczewo nie czuli, aleni nie rykajut" (nic nie słyszeliśmy, jelenie jeszcze nie ryczą).

„Tyżdeń treba poczekati", no i niestety:

„Wołkiw dużo bogato (wilków dużo) i psujut rykowisko". Nie jest to miła wiadomość, gdyż wiem, co było zeszłego roku: jak te „cholery" ciągle wałęsając się po kniei, wyły i płoszyły jelenie.

„Chudoba", inwentarz, to jest „towar", bydło, i „marżena", drobniejszy inwentarz: owce, świnie jeszcze na połoninach „wskroś" — dopiero zaczynają potrochu sprowadzać. To też nie wesołe: gdyż choć jelenie z tem są oswojone, jednak bądź co bądź, hałas, psy, nawoływania, dzwonienia w wiszące żelaza i blachy dla odstraszania niedźwiedzi i wilków; także ulubione zabawy huculów każdego wieku; wybuchy znajdowanych stale granatów i nabojów, przez wrzucanie do ognia, lub uderzanie w kapiszon — także mącą pożądaną ciszę.

Często widzi się u huculów brak jednego lub więcej palców, skutkiem tej rozrywki, ale to ich nie nauczyło, i strzały słychać na połoninach całą dobę, bo i w nocy; pilnujący stad też niby to straszą „medwidia" czy „wouka"; „szlag go trafił", jest to ulubione ich przekleństwo. Wszystko to nie działa uspokajająco na zwierzynę, tem więcej w czasie, kiedy szuka ona ustronnego miejsca na schadzki miłosne.

(C. d. n.). STANISŁAW LESKI.



POLOWANIE NA DROPIE.

Dokończenie. (Zob. Nr. 38).

Pewnego razu, z początkiem sierpnia, nastała niebywała w tej porze słota. Deszcz bez przerwy padał dzień i noc przez parę dni i nie zanosiło się na pogodę.

Doniesiono mi w tym czasie, że na niedalekiej oraninie, od paru dni przebywa dość spore stadko dropi. Sądziłem, że nadarza się dobra sposobność zapolować na te ptaki. Postanowiłem zaraz z niej skorzystać, sądząc, że mam wszelkie szanse do zbliżenia się do stada na odległość strzału. Według bowiem zdania naszych ornitologów, dropie obmokły, więc nie będą mogły wzlecieć do góry, zwłaszcza że w stadzie musi być sporo młodych, które jeszcze o tej porze słabo mogą latać, tembardziej, że już czwartą dobę mokną na deszczu. Nie namyślając się dłużej, kazałem osiodłać klacz, która chodziła dawniej pod wierzchem, ale na starość straciwszy nogi, poszła do fornalki. Nie brałem konia wierzchowego, na którym jeździłem, gdyż ten nie był należycie ostrzelanym, a z natury był wielce nerwowym i krnąbrnym.

Wśród ulewnego deszczu wyjechałem na pole w kierunku, gdzie chodziły dropie. Nabitą grubym śrutem dwunastkę, ukryłem pod płaszczem. Ziemia tak była rozmoknięta, że po ściernі ledwo mogłem jechać, a gdy wjechałem na oraninę, klacz grzęzła powyżej pęciny.

Jechałem stępa, nie wprost na dropie, lecz w ten sposób, jakbym chciał je ominąć. Podjechawszy na jakie dwieście kroków, spostrzegłem, że ptaki zaczynają się niepokoić i namyślają się, co robić w tym wypadku.

Widocznie wahały się. Wzlecieć wśród ulewnego

deszczu nie miały ochoty, a ustępować po grząskiem, podolskiem błocie, które, jak karuk, czepiało się do nóg, również nie chciały.

W czasie tego wahania podjechałem ptaki mniej może, niż na sto kroków. Wstrzymałem konia i wyjąłem z pod płaszcza strzelbę, by zmierzyć do zwierzyny. Nie zwróciłem jednak, jak to było koniecznem, konia w bok, tylko zmierzyłem do dropi, mając lufy ponad głową klaczy.

Kiedy dropie spostrzegły, że stanąłem i gotuję się do strzału, w tym momencie z miejsca, z rozpostartemi skrzydłami, wzbiły się w górę. Oddałem raz po raz dwa strzały do wzlatujących ptaków. Widać, że końce luf były za blisko uszów konia, gdyż ten rzucił się gwałtownie w bok. Wyleciałem z siodła, jak z procy. Upadłem na pulchną, jak drożdżowe ciasto, rolę, zostawiając na niej dokładną odbitkę swego korpusu. W ręku zostało mi tylko łoże, lufy leżały opodal w błocie, a klacz galopem poszła do stajni. Leżąc w błocie, pomyślałem sobie, że nie wszystko jest prawdą, co spotykamy nawet w naukowych pracach drukowane. Dropie obmoknięte, spłoszone, nie biegają, lecz z miejsca mogą wzlecieć w górę.

Tego przeświadczenia nabyłem kosztem złamanej strzelby i obłoconego ubrania. Gdy powstałem z trudem z błota na nogi, dropie znikły na horyzoncie.

Po strzałach posypało się jednak z nich dość pierza, które zebrałem starannie, jako zdobycz z pierwszego strzału do tych ptaków.

Z trudem grzęznąc w rozmokłej ziemi, doszedłem do domu. Domownicy oglądali mię, jak jakie dziwo, i z pewnością śmiali się w kułak z mojej niefortunnej wyprawy. Ten jednak niemiły wypadek nie zniechęcił mię, lecz owszem nabrałem jeszcze większego zapału do polowania na te przezorne ptaki.

W dwa dni potem przyniósł mi polowy dropia, który przezemnie raniony w szyję, przeleciał jeszcze z tysiąc kroków i padł na rolę, czego wtedy, leżąc na ziemi, nie mogłem widzieć.

Postanowiłem od tej pory polować na dropie tylko z konia. W tym celu tresowałem swoją klacz Abiatkę, arabkę czystej krwi ze sławnego rodu Abiatów. Była to klacz łagodnego usposobienia, lecz przytem wielkiego temperamentu. Wkrótce ostrzelałem ją tak, że przy strzale strzygła tylko uszami, lecz stała w miejscu, jak wryta.

Nadeszła jesień, i dropie gromadziły się w duże stada, żerując na rzepakach. W niedalekiej odległości od domu była dość stroma ubocz nad potokiem. W górze uboczy było płaskie pole, obsiane rzepakiem, i na niem żerowały dropie. Dosiadłszy Abiatki, wziąłem nabitą dubeltówkę i jadąc polem po przeciwnej stronie potoka na jaki kilometr w oddaleniu od pola rzepakowego, śledziłem, w którem miejscu na górze chodzą dropie.

Gdy je ujrzałem, zapamiętałem dobrze miejsce w dole, nawprost którego pasło się stado. Wtedy zjechałem do potoka, a dojechawszy do punktu tego, puściłem konia galopem w górę, licząc na to, że trafię wprost na stado, którego z dołu widzieć nie mogłem. Rzeczywiście — manewr się udał. Dropie były tak zaskoczone tym nagłym napadem, że zbliżyłem się do nich w galopie na dwadzieścia kroków, zanim wzleciały w górę. Nim jednak wstrzymałem konia, zanim się zmierzyłem i dałem dwa strzały, dropie odleciały pewnie na 100 kroków. Po strzałach jeden ptak upadł, a reszta uleciała. Obserwując lecące stado, spostrzegłem, że jeden drop pozostaje w tyle, zniża się i zmienia kierunek lotu. Ujrzałem w końcu, że na jakie cztery kilometry odemnie zniżył się tak, że prawdopoodbnie musiał zapaść na pole. Tego jednak z powodu zbytniego oddalenia i niskiego lotu nad ziemią, widzieć nie mogłem.

Pozostawiwszy ubitą sztukę na miejscu, puściłem się kłusem tam, gdzie prawdopodobnie drop mógł usiąść na ziemię. Był to wielki łan zorany na zimę. Przerzynały go głębokie brózdy i sterczące skiby. Jeździłem w różnych kierunkach po tem polu, śledząc pilnie, lecz dropia nie było nigdzie widać. Nawróciłem konia z zamiarem powrotu do domu. Wtem usłyszałem po za sobą szum, jakby skrzydeł lecącego ptaka; obróciwszy się, spostrzegłem dropia w locie w niewielkiem odemnie oddaleniu.

Zwróciłem konia i dałem dwa strzały. Oddalenie jednak było za wielkie i ptak uszedł nietrafiony. Nie leciał jednak już tak daleko, jak pierwszym razem, lecz najwyżej na kilometr odemnie, usiadł znów na zoranem polu. Chociaż w powietrznej linji miałem tylko kilometr do przebycia, to jednak z powodu przeszkody, musiałem przejechać parę kilometrów, zanim mogłem dostać się do roli, na której drop zapadł, a to z powodu grzązkiej, bagnistej łąki, uniemożliwiającej jazdę w prostym kierunku.

Jadąc wokoło, straciłem z oczów ptaka i kiedy przyjechałem na rolę, gdzie drop usiadł, nigdzie go znaleźć nie mogłem. Tymczasem nadszedł polowy z psem. Powiedziałem mu, co zaszło i czego szukam, i nakazałem mu, by przeszedł również pole i szukał ranionego ptaka. Znalazł go na małej łączce między polami, na której rosło parę krzaczków łoziny. W jednym z nich schował się drop w ten sposób, że wetknął głowę w krzak, a cały korpus był widocznym, bo drop nawet nie przysiadł, lecz stał na nogach z wyciągniętą i pochyloną szyją w krzaku.

Gdy tam nadjechałem i polowy pokazał mi dropia, widząc, że ten żyje i może znów wzlecieć, postanowiłem dobić go strzałem, miałem jednak tylko jeden nabój przy sobie i to z kulą. Zsiadłem z konia i oddałem go polowemu, a sam podszedłem do dropia na pięćdziesiąt kroków i zmierzywszy, wypaliłem.

Strzał jednak chybił, a drop został w tej samej pozycji. Teraz już nie było innego sposobu, tylko trzeba było ująć dropia rękami. Poleciłem polowemu, by to wykonał. Kiedy polowy był już na parę kroków od ukrytego dropia, ten zerwał się na skrzydłach i odleciał na paręset kroków dalej.

Dosiadłem konia i popędziłem za nim. Kiedy go dogoniłem, drop stanął, obrócił się do mnie przodem, podleciał w górę na skrzydłach i z wyciągniętemi naprzód nogami, zaatakował konia w głowę. Koń przestraszony tą niespodziewaną napaścią, spiął się dęba i skoczył w bok. Ledwo mogłem utrzymać się na siodle. Przy powtórnem z mej strony natarciu koniem na ptaka, znów ze strony dropia powtórzył się atak na głowę konia. Kto wie, jakby się ta walka skończyła, gdyby nie nadbiegł polowy i rzutem laski nie zabił ptaka, trafiwszy go w głowę. Drop ten, sta-

ry samiec, ważył 18 kilogramów, był to najpiękniejszy okaz, jaki w swem życiu widziałem.

Mięso dropia nie jest smaczne, choć w niektórych krajach Europy uchodzi za przysmak. Czuć go swoistym zapachem, do którego nie można się łatwo przyzwyczaić. Z zabitego dropia wytopiono litr tłuszczu, którego z dobrym skutkiem używałem do przynęty na lisy i smarowania żelazek na kuny i tchórze.

Polując w opisany wyżej sposób, zabiłem jeszcze kilka ptaków, ale tego rodzaju polowanie nie bardzo jest bezpieczne i wygodne. Zwykła dubeltówka nie nadaje się do użycia z konia, jest bronią za delikatną i za słabą do takich, brawurowych polowań. Kulą z karabinu lub sztucera trudno znów z konia trafić w locie, ptaka.

Wtedy nie było jeszcze manlicherów i lekkiej broni do kul. Były tylko ciężkie sztucery i również ciężkie karabiny. Z tych powodów zaniechałem tego niebezpiecznego i brawurowego sposobu polowania na dropie, a zacząłem uprawiać z powodzeniem zupełnie inną metodę

Do tego nowego rodzaju polowania potrzebne były dwa konie. Jednego dosiadał myśliwy, drugiego zaś naganiacz. Jadąc z chłopcem stajennym, wypatrywałem, gdzie żeruje stado dropi. Gdy te spostrzegłem, podjeżdżałem tak blisko, jak tego wymagała potrzeba, by należycie rozpoznać teren, jednakże nie na taką odległość, aby ptaki zaniepokoić. Zbadawszy dokładnie teren, chłopcu, który strzemię w strzemię, jechał wciąż ze mną, wskazywałem miejsce, z którego miał zacząć naganiać ptaki. Po ustaleniu tego, odjeżdżałem wraz z chłopcem z powrotem, dalej, lub bliżej, — zależnie od terenu, aby dropiom zniknąć z oczów. Następnie, kołując i wykorzystując nierówności w terenie, zajeżdżałem z przeciwnej strony tego punktu, z którego chłopiec miał rozpocząć nagankę. Tu zsiadałem z konia, a chłopiec powracał znów tą samą drogą z końmi do miejsca, z którego miał rozpocząć nagankę. Nim tam dojechał, podchodziłem ostrożnie, jak można było najbliżej do dropi, tak jednak, by mię ptaki widzieć w żaden sposób nie mogły. Zmiarkowawszy, że dalsze podchodzenie mogłoby spłoszyć ptaki, siadałem, przyklękałem lub kładłem się na ziemię, stosownie do tego, jakie ukrycie znalazłem przed sobą. Czasem mógł to być rów, głębsze wgłębienie, kamień, krzak burzanów, bodiaków lub kopiec graniczny. Tak ukryty, od czasu do czasu wychylałem ostrożnie głowę bez czapki, by zobaczyć, czy ptaków nie widać. Tymczasem chłopiec, gdy podjechał do oznaczonego miejsca z końmi, zaczął wolno krok za krokiem trawersując po polu, nie wprost, lecz jakby mijając bliżej i bliżej w linjach skośnych, najeżdżać ptaki. Te spokojnie, lecz przezornie oddalały się wciąż od koni i postępując na nogach, żerowały w dalszym ciągu. Zdarzyło mi się raz, że, gdy leżąc za burzanem, wychyliłem ostrożnie z poza krzaku głowę, ujrzałem przed sobą na pięćdziesiąt kroków, ze trzydzieści głów ptasich. Zmierzyłem i strzeliłem do tych główek, a kiedy ptaki wzleciały, dałem strzał po raz drugi. W rezultacie zostało sześć sztuk na miejscu. Kilka było postrzelonych w skrzydła i te musiałem dobić strzałami. Naturalnie, że ten rodzaj polowania nie jest tak pewny, jakby się zdawać mogło, ale ze wszystkich sposobów ma najwięcej szans powodzenia i jest najmniej męczący. Główne zadanie myśliwego to umiejętność wykorzystania terenu. Dropie w ten sposób napędzane idą nieraz parę kilometrów spokojnie, naturalnie, jeżeli teren, na którym postępują, daje im możność żerowania. Jeżeli, dajmy na to, dropie przy swojem cofaniu wejdą na świeżo zoraną rolę, to naturalnie, że po niej nie będą iść, jak gonione owce, lecz zerwą się i ulecą. Ale i wtedy jeszcze nie jest wszystko stracone, bo często się zdarza, że lecą wprost na myśliwego i ten jest w możności dać skutecznie strzały. Dobre powodzenie w tym rodzaju polowania zależy również od tego, kto nagania dropie. Do tej czynności nie można brać pierwszego lepszego gamonia, ale należy wybrać roztropnego i pojętnego chłopaka, któryby ściśle wykonywał dane mu wskazówki i rozkazy.

Podjeżdżać dropie musi chłopiec bardzo wolno, defilując wciąż przed nimi, a zbliżając się równocześnie do nich. Długość linji, na której odbywa chłopiec defiladę z końmi, powinna wynosić niemniej jak 300 metrów. Jeżeliby była krótszą, to robiąc krótkie zakosy, za prędko by się zbliżał do ptaków i te nie ustępowałyby na nogach, lecz zerwały się do lotu. Przy nawrotach końmi chłopak powinien brać ostry kąt do swego poprzedniego śladu, inaczej postępując, zbliżałby się za szybko do stada.

Polowałem w ten sposób przez parę lat i zabiłem kilkanaście sztuk tych wspaniałych i przezornych ptaków. Niewiadomo mi, czy są jeszcze w Polsce okolice obfitujące w dropie, bo tam, gdzie przed laty polowałem, już ich niema. Step zaludnił się. Wszędzie tam, gdzie były rozległe łany lub pastwiska, stoją chaty, rosną drzewa, przecinają się drogi i tor kolejowy biegnie po równinie. Ze zdumieniem patrzę z okien wagonu na tę szybką przemianę. Okolica nie do poznania zmieniła swój wygląd. Daremnie szukam oczami, stad pasących się dropi. Niema tam ich śladu.

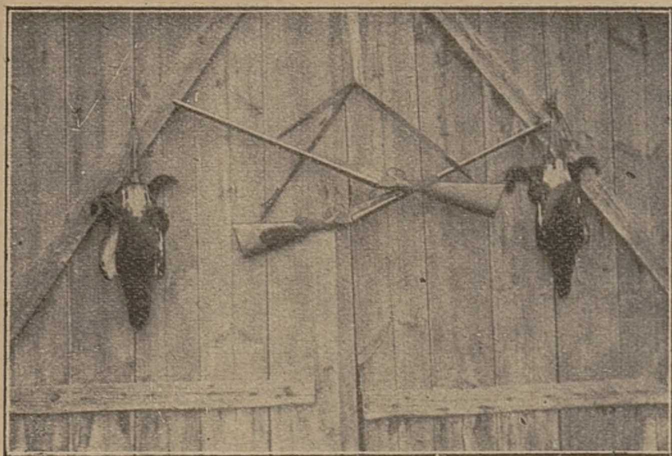
Po działkach, dawniej wielkiego łanu, chodzą gęsi, kozy i świnie. Dla dzikich zwierząt miejsca już tam niema.

Przeminęło wszystko, jak sen, a zda się ,że to tak niedawno.

Poznań. LEON STARKIEWICZ.



Dzik (wycinek) ubity na nagance w nadleśnictwie Rożenna w dniu 11.8.30 r. przez B. Łuczkowskiego, właściciela maj. Lucim.



CZYSZCZENIE BRONI.

Podajemy trochę szczegółów o nowoczesnem, uzasadnionem wymaganiu czyszczenia luf przy używaniu prochów małodymnych do pocisków opancerzonych w pół- i pełnych płaszczach i wpływie czyszczenia na zabezpieczenie od wżerania się rdzy w lufy i na wtórne rdzewienie.

Niewątpliwie znaczna ilość dobrych broni traci na precyzyjności, a to dlatego, że przyzwyczailiśmy się czyścić lufy, strzelane ołowianymi pociskami, a system ten przenieśliśmy na nowoczesną broń.

Że to jest z gruntu fałszywe, wynika z dwóch względów:

1) **Pozostałości zapału kapiszona** pozostawiają w lufie mikroskopijne cząsteczki, które, o ile nie są zaraz po strzelaniu usunięte, wciągają wilgoć z powietrza i wywołują tworzenie się rdzy.

Zwyczajne oliwienie po strzelaniu nie wiele pomaga, ponieważ czyste oleje lub tłuszcze, jako ciała neutralne, nie mogą neutralizować kwaśnych produktów osadu, a pozostałe reszteczki, gdy znajdują wilgoć w powietrzu, powodują rdzewienie.

Cerwin, Nitrol, Curol, Ferruginol, Ballistol i (reklamowany przez „National Rifle Association") Clozoil są to oleje lub tłuszcze, a ponadto angielskie mydło „Monkey Brand" i pasta angielska, pumeks z benzyną „Cunirid", wszystkie wymagają jeszcze znacznej, mechanicznej pracy dla usunięcia szkodliwego działania piorunianu rtęci, zawartego w kapiszonie, przyczem niewykluczona jest możliwość rdzewienia.

2) Względ drugi: **metaliczne zasmarowanie luf.** Ono zdarzało się i przy dawnych broniach i ołowianych pociskach, ale przy znacznych kalibrach był nalot ten łatwiejszy do usunięcia.

Inaczej rzecz się ma z pociskami opancerzonymi w pół, czy pełnych płaszczach. Metaliczne warstwy (osady) po strzałach nie dadzą się tak łatwo usunąć szczoteczką metalową; szczoteczka zaś stalowa sprowadzi na politurze luf zadrapania, w których się niebawem metal będzie osadzał.

Metaliczne zasmarowania występują tem silniej, im większa jest szybkość początkowa pocisku; występują zatem znacznie silniej w ładunkach nowoczesnych, niż w pociskach o mniejszej szybkości. Dla dokładnego zbadania wnętrza luf, używa Niemiecki Instytut „Optycznego badacza luf" firmy Hans Kollmorgen (Berlin W. 57), gołem okiem bowiem niepodobna dostrzedz zmian wywołanych zasmarowaniem metalicznemi warstwami na politurze, gwintów, pozostałości zapału kapiszona, pozostałości spalenia prochu, a wreszcie samego pocisku.

W roku zeszłym wydał Vigilant-Itinerant (Berlin Paul Schrader Friedenau) broszurę „O czyszczeniu broni". Opierając się na jasnem poznaniu i naukowem przedstawieniu rzeczy, poucza autor strzelca i myśliwego, jak ma lufy swoje w chemicznie czystym stanie trzymać, a przez to pomimo jednorazowego tylko czyszczenia, od wtórnego rdzewienia (nachrosten) uchronić, a przez usunięcie ze środka luf metalicznych zasmarowań, pozostawić im maksymalną precyzyjność, do jakiej są zdolne.

Jest zasadnicza różnica między czyszczeniem luf a konserwowaniem ich na czas dłuższy od rdzewienia.

Przez czyszczenie rozumiemy ogólnie: usunięcie brudu, czyli obcego ciała w lufie. Jakież to substancje czepić się mogą broni? Oto wszelki powierzchowny brud i nieczystość, która na broni przy jej użyciu zawsze znajdować się musi; samo ujęcie broni spoconą ręką (a pot zawiera sole i kwasy) może spowodować rdzewienie, które jednak na razie szmatką nasyconą środkiem czyszczącym, usunąć można.

Gruntowne oczyszczenie wymaga zatem usunięcia wszystkich tych substancyj; laik, — a między nami mówiąc, każdy prawie myśliwy, gotów utrzymywać, że gruntowne czyszczenie jest zbyteczne, że pewien brud w lufie jest normalny, bo broń wtedy nawej ostrzej bije (!?) i t. p.

Zastanówmy się najpierw, czy te pozostałości pojedynczo lub razem wzięte lufom szkodzą, i czy wpływają na długotrwałość i precyzyjność bicia broni.

Najpierw co do **pozostałości spalania prochu.**

Większość prochów obecnych nie posiada właściwości wywoływania rdzy, t. j. nie znajdują się w nich sole lub kwasy przyciągające wilgoć, a przez to wywołujące wsiąkniętą z atmosfery wilgocią, rdzewienie stali. Ta rdza nieusuwana stworzy powłokę, która stanowić będzie przeszkodę dla przejścia pocisku, wpływając na precyzję uderzenia.

Nasi małokalibrowi strzelcy dobrze to rozumieją, i przeczyszczają po kilku już strzałach swoje karabinki, usuwając z luf te drobne na pozór przeszkody. Usunięcie tych na pozór niewinnych pozostałości może być wykonane kłakiem lnianych pakuł, flanelową szmatką, lub nawet szczecinową szczoteczką. Skuteczne bardzo jest czyszczenie gorącą wodą, ale musi potem lufa dobrze do sucha być wytarta i naoliwiona.

O wiele niebezpieczniejsze są **pozostałości spalenia kapiszona;** bo chociaż większość kapiszonów reklamowana jest jako niewywołująca rdzy, wszystkie jednak wytwarzają sole (chlorkalium, chlornatrium) chociaż nie w tym co dawniej, stopniu.

Fabryki amunicji pracują w tym kierunku, aby zapały kapiszona uczynić niewywołującymi rdzy. Sole wymienione tem są niebezpieczne, że są nikłe i gołem okiem zauważyć ich niepodobna. Osadzają się na najmniejszej nierówności, na najdrobniejszej rysie w lufie, dla oka niewidocznej, i na doskonale wypolerowanej lufie, i nie dadzą się mechanicznem czyszczeniem za pomocą pakuł i jakiegoś tłuszczu skutecznie usunąć.

Sole te przyciągają wilgoć, i nawet pod warstwą tłuszczu prowadzą swoją niszczycielską robotę.

Niemiecki Instytut taką daje radę: najlepiej przemyć lufę gotującą wodą lub roztworem Vigitiny (Halger— Reiniger, Halbe & Gerlich Hamburg) później do sucha wytrzeć i naoliwić.

Jeżeli zaś chodzi o przechowanie, to broń od **dostępu powietrza** musi być zabezpieczona, to jest warunek konieczny.

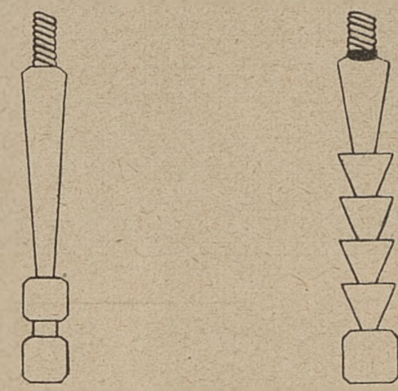
Metaliczne zasmarowania, gdy przejdą pewną miarę, muszą wpłynąć na precyzyjność strzału, pokrywają bowiem pozostałości spalania zapału kapiszona, przepuszczają wilgoć, która działa na stal. O ile te metaliczne osady nie są za głębokie i nie weżrą się w lufy, to można te ostatnie za pomocą szmerglowania do porządku doprowadzić.

Usuwaniem metalicznych zasmarowań trzeba najlepiej po każdem strzelaniu się zająć, wtedy tylko można być pewnym, że się w lufach dołki lub rysy nie porobią; usuwanie tych zasmarowań może być robione drogą mechaniczną, za pomocą dobrej, mosiężnej szczoteczki.

Wygodniejszy jest jednak sposób czyszczenia luf **drogą chemiczną:** biorąc szmatkę flanelową, napojoną odpowiednim tłuszczem, przecierając szczelnie przylegającą, tam i napowrót, ciągle zmieniając szmatkę świeżo napojoną tak długo, póki nie przestanie farbować.

Niemiecki Instytut używa jako środek **pewny** na odczyszczenie luf zasmarowanych ołowiem, niklem lub mosiądzem, płynu „Halger Vigitin", który można uważać za uniwersalny środek usuwania skutków strzelania różnymi prochami i opancerzonemi kulami. Broń, ze znajomością rzeczy i zamiłowaniem czyszczona, zachowa bardzo długo swoje balistyczne własności.

Aby broń w czystości utrzymać, trzeba posiadać odpowiedni kij stalowy z jednej sztuki. Kije składane dobre są w podróży; z powodu niedostatecznej sztywności, zadania dokładnie spełniać nie mogą. Kij musi być ze stali odpowiedniej twardości i elastyczności, doskonale wypolerowanej; opatrzony w końcu gwintem dla przyjęcia rodzaju grajcarka z poprzecznemi nacięciami, zakończony ćwiekiem (czopkiem) z wypukłą główką, na którą nakładać się będzie flanelowe szmatki.



Ostre kanty grajcarka pierwszego typu należy wyrównać i zaokrąglić, z obawy ewent. uszkodzenia luf.

Szmatki do czyszczenia luf, krajane z białej, mocnej flaneli, winny mieć nacięcie w środku dla wkładania na czopek.

Oprócz tego należy mieć szczoteczkę szczecinową i szczoteczkę mosiężną, trzyrzędową.

Pozatem posiadacz broni powinien co jakiś czas przepolerować lufy proszkiem „Rouge" (do nabycia w każdym składzie aptecznym); poczem lufy szmatką naoliwioną przetrzeć.

Po takiem oczyszczeniu można uważać lufy jako zabezpieczone przed wtórnem rdzewieniem (nachrosten).

Przechowując broń na dłużej, należy trzymać ją w szafie dla zabezpieczenia od wilgoci i kurzu; szafa winna być obita suknem. Nigdy nie należy trzymać broni w futerałach skórzanych, niepodszewkowanych suknem; każda skóra zawiera garbniki, a zatem kwasy, które mogą wywoływać rdzę.

W końcu jedna jeszcze uwaga; zaglądając do luf, należy na chwilę wstrzymać się od oddychania.

WŁ. SŁONCZYŃSKI.



ŁOWIECTWO W MINISTERSTWIE ROLNICTWA.

W ogłoszonym drukiem „Statucie organizacyjnym Ministerstwa Rolnictwa z dnia 16-go kwietnia 1930 roku", Łowiectwo zostało przydzielone do departamentu VI „Leśnictwa", który składa się z 7 wydziałów. Wydział 2-gi nosi nazwę: „Ochrony lasów i Łowiectwa". W paragrafie 8-ym statutu określono działalność tego Wydziału w następujących słowach:

„2. Wydział **Ochrony Lasów i Łowiectwa** załatwia sprawy państwowego nadzoru nad zagospodarowaniem lasów niestanowiących własności Państwa, sprawy organizacji, kierownictwa i nadzoru nad państwową służbą ochrony lasów oraz sprawy, związane z wykonywaniem obowiązujących przepisów prawa łowieckiego i popierania łowiectwa".

W uzupełnieniu nowego statutu Ministerstwa wydał Pan Minister Rolnictwa w dniu 7 czerwca br. pismo okólne Nr. 1040, w którem zaznaczając potrzebę reorganizacji administracji lasów państwowych wyodrębnił czasowo z Departamentu Leśnictwa wszystkie sprawy objęte kompetencją Wydziałów: Organizacji Administracji Lasów Państwowych, Urządzenia Lasów Państwowych, Gospodarki w Lasach Państwowych, Budownictwa i Komunikacji w Lasach Państwowych, Finansów Lasów Państwowych, Głównej Inspekcji Lasów Państwowych i Radcy Prawnego. Równocześnie powierzył Pan Minister Rolnictwa kierownictwo sprawami zarządu lasów państwowych, wyłączonemi z Departamentu Leśnictwa — dyrektorowi Lasów Państwowych, p. Adamowi Loretowi. Załatwienie spraw dotyczących kompetencji wydziałów wyodrębnionych z Departamentu Leśnctwa, odbywa się pod kierownictwiem bezpośrednio zależnem od pana Ministra Rolnictwa.

PARK NARODOWY W PIENINACH.

W ubiegłym miesiącu odbyła się uroczystość utworzenia rezerwatu pod nazwą „Park Narodowy w Pieninach".

Pieniny stanowią pasmo górskie, należące do łańcucha, zamykającego od północy grupę Karpat Zachodnich. Łańcuch ten, zwany Beskidami Zachodniemi, swojemi południowo-wschodniemi kończynami dociera pod Szczawnicę pasmem Lubańskiem, oraz grupą Pienin. Z temi kończynami styka się przez Dunajec drugi łańcuch: Magóra Spiska. Na jej zboczach leżą wioski Spiskie po stronie obecnie słowackiej, po polskiej zaś stronie Szczawnica i szereg innych miejscowości aż po Nowy Sącz.

Górskie to gniazdo ongi obfitowało w rzadkie gatunki zwierząt.

Zmarły przed kilku laty właściciel Czorsztyna, ś. p. Stanisław Drohojowski, nie chcąc, aby obszar Pienin, należący do niego, uległ podziałowi między spadkobierców i mógł być narażony na różne możliwe a ryzykowne dla wspaniałego krajobrazu, ewentualności, wystąpił z projektem, aby obszar ten wydzielony był jako rezerwat po wieczne czasy nietykalny. Szlachetne tendencje ojca poparł po jego śmierci syn i spadkobierca, właściciel Czorsztyna, Marjan Drohojowski. Całą sprawą zajęła się państwowa rada ochrony przyrody. Chodziło jednak o wydzielenie nietylko obszaru, należącego do Drohojowskich, lecz większego, obejmującego 645 ha. Starania te ciągnęły się 10 lat i dopiero w tym roku zostały zakończone. Obszar wspomniany wykupiono z rąk właścicieli prywatnych i stworzono w ten sposób Park Narodowy w Pieninach.

Najwyższa już była pora. Ptaki górskie stawały się tu już coraz większą rzadkością. Zwierzęta niemal w zupełności wyginęły. Siekiera coraz mocniej panowała.

Park w Pieninach stać się winien żywem muzeum gdzie będzie można podziwiać niezwykłe okazy flory i ostatnie pozostałości fauny



OCHRONA ZWIERZĄT W PRUSACH.

Myśliwska prasa niemiecka wyraża się z wielkiem uznaniem o nowo wydanem prawie, dotyczącem ochrony zwierząt w Prusach, podkreślając przedewszystkiem ten szczegół, że poszczególni ministrowie, podług nowego prawa, mogą wydawać samodzielnie rozporządzenia mające na celu ochronę zwierząt w poszczególnych dziedzinach. Przekroczenie tych przepisów może pociągnąć za sobą grzywnę 150 marek, ewentualnie areszt. Rozporządzenia te obejmować bądą także wypadki związane z łowiectwem i czasami ochronnymi.

Z paragrafów nowego prawa interesują specjalnie myśliwych następujące:

Przez cały rok podlegają ochronie żbiki, kuny leśne, bobry, łosie, norki.

Nie podlegają wcale ochronie: rybitwy (rybołówki), jastrząb (kuropatwiarz), krogulec, łyska, wróbel domowy i polny, sroka, gawron i jeszcze parę gatunków pomniejszych.

Dozwolone jest polowanie na:

Dzikie gęsi od 1.7 do 28.2.

Dzikie kaczki od 16.7 do 31.12.

Orliki od 1.9 do 28.2.
Pardwy od 1.8 do 28.2.
Pardwy szkockie (grousy) od 1.9 do 30.11.
Cietrzewie od 1.4 do 15.5 i
za specjalnem pozwoleniem władz od 1.10 do 30.11.
Jarząbki od 1.10 do 30.11 tylko za zezwoleniem władz.
Głuszce od 1.12 do 31.5.
Kuropatwy od 1.9 do 30.11.
Bażanty koguty od 16.9 do 31.5; kury od 16.9 do 31.1.
Dropie od 1.3 do 31.3.
Kuligi (biegusy), brodźce (lądziki); dubelty od 1.9 do 28.2.
Słonki od 16.7 do 15.4.
Mewy od 1.9 do 28.2.
Gołębie: turkawki i grzywacze od 1.9 do 28.2.
Sarny-kozły od 16.5 do 31.10, kozy i koźlęta od 1.11 do 31.12.

Pozatem zabrania się strzelania, począwszy od godziny po zachodzie słońca do godziny przed wschodem. Wyjątek stanowi strzelanie do gęsi, kaczek, głuszców, cietrzewi, słonek i ptaków łowiących ryby na sztucznie zarybionych stawach. Zabroniono ustawiania różnych łapek i samostrzałów na wyniosłościach ponad ziemią. Kosze na jastrzębie ustawiać wolno od października do końca kwietnia, a czynne mogą być tylko za dnia. Sztuczne oświetlanie w celu łowienia lub ubicia ptaków jest niedozwolone.

Zabronione jest strzelanie śrutem nawet największym, do jeleni, danieli i sarn.

Sprawę królików i kotów, jako bardziej lokalną, pomijamy. Na uwagę zasługują jeszcze przepisy, że preparatorzy, wypychacze i handlujący okazami zwierzęcymi, muszą prowadzić wykaz ich pochodzenia.

WZROST KOŚĆCA U PSA.

Na jednem z ostatnich posiedzeń Polskiego Towarzystwa lekarzy weterynaryjnych docent dr. Z. Mockus odczytał pracę, poświęconą wpływowi gruczołów tarczycowych i przytarczycowych na wzrost kośćca u psów. Pracę tę wydrukowały „Wiadomości Weterynaryjne", z których przytaczamy ciekawsze szczegóły:

Doświadczenia zostały wykonane na 4 szczeniętach (2 samcach, 2 sukach), pochodzących od jednych rodziców, wyżłów. Podczas doświadczenia jedna suczka padła na nosówkę i nie weszła w rachubę przy zestawieniu wyników. Psy doświadczalne były badane w ciągu 7 mies. i 9 dni. Z pozostałych 3 szczeniąt jedna suka, Nr. 1 była zostawiana dla kontroli, drugiej suce Nr. 2 usunięto całkowicie obustronnie gruczoły tarczycowe. Trzeciemu psu, Nr. 3, usunięto obustronnie gruczoły tarczycowe i przytarczycowe. Operacje były dokonane na wszystkich psach jednocześnie w 74 dniu ich życia. Rany zagoiły się bez powikłań. Na gruczoły tarczycowe dodatkowej uwagi nie zwracano.

W 10 dni po operacji, u psa Nr. 3, któremu usunięto gruczoły tarczycowe i przytarczycowe, zaobserwowano następujące objawy: zaprzestanie przyjmowania pokarmów, trudność podnoszenia się i ruchów, napady skurczów tężcowych, tętno pulsu nieregularne. Objawy skurczów tężcowych powtarzały się co 2 tygodnie. W celu leczniczym psu zastrzykiwano kamforę, dawano nieco mięsa, w czasie wolnym od kurczów tężcowych, dawano pożywki Bluma. W czasie normalnym zwierzęta doświadczalne otrzymywały żywność jednakową, która się składała przedewszystkiem z mleka, mąki, kartofli. Waga szczeniąt stopniowo wzrastała.

Waga 3600 gr (Nr. 3) która była przed operacją większa, niż waga operowanej siostry jego Nr. 2, o 1.000 gr., obniża się i równa z jej wagą. Po przejściu szeregu dolegliwości Nr. 3 zaczął się poprawiać i waga jego też zaczęła wzrastać. Nr. 3 przed operacją ważył nawet więcej od swojej siostry Nr. 1 zostawionej dla kontroli. Najmniej w stosunku do innych przed i po operacji ważył Nr. 2.

Z doświadczeń wyciągnięto następujące wnioski:

1. Usunięcie z młodego ustroju szczeniąt gruczołów tarczycowych ujemnie wpływa na wzrost kośćca i rozwój całego ustroju.

2. Przez usunięcie oprócz gr. tarczycowych również i przytarczycowych wpływ ów ujemny jeszcze bardziej uwydatnia się — mianowicie:

a) kości nie osiągają swego normalnego wzrostu;

b) proces skostnienia uskutecznia się słabiej, nasady są słabo złączone z trzonami;

c) wyrostki kości są mniej uwydatnione;

d) kości są szczuplejsze.

3. Brak gruczołów tarczycowych i przytarczycowych wpływa ujemnie na rozwój nietylko kośćca, lecz i wogóle całego organizmu, mózgu i innych narządów ustroju.

CZASY OCHRONNE.

Rozporządzenia wojewody krakowskiego.

Uwzględniając prośbę Władysława Szczurkiewicza, delegata Związku Stowarzyszeń Łowieckich i Małopolskiego Tow. Łowieckiego w Pilźnie, wprowadzam na obszarze pow. Pilźnieńskiego, w miejsce rozszerzonego rozporządzeniem z dnia 11 grudnia 1929 r. L. AD. 2442/29 na rok 1930 czasu ochronnego **dla kuropatw** normalny, ustawowy czas ochronny od 1 grudnia do 31 sierpnia.

Uwzględniając wniosek Pana Starosty z dnia 30 sierpnia 1930 r. L. III/112 — wprowadzam na obszarze **pow. Ropczyckiego,** w miejsce rozszerzonego rozporządzeniem z dnia 11 grudnia 1929 r. L. AD. 2442/29 (Krakowski Dziennik Wojewódzki Nr. 28 z dn. 15 grudnia 1929 r.) na r. 1930 czasu ochronnego dla kuropatw, normalny, ustawowy czas ochronny **od 1 grudnia do 31 sierpnia.**

Kronika myśliwska.

— L. — Dnia 12 września r. b. odbyło się jednodniowe polowanie na kuropatwy w maj. Czamaninie u p. Witolda Karczewskiego. W 12 strzelb zabito 264 kuropatw, królem polowania był p. Jan Gerlicz, mając na rozkładzie 56 sztuk.

— L. — Dnia 13 września r. b. odbyło się jednodniowe polowanie na kuropatwy w maj. Wierzbie, p. Zygmunta Krzymuskiego. W 6 strzelb zabito 620 kuropatw, królem polowania był p. Jan Gerlicz, mając na rozkładzie 124 sztuki, drugim był p. Henryk Chełmicki, mając 121 sztuk. Zaznaczylć należy, że stan kuropatw jest wyjątkowo dobry w maj. Wierzbie, gdyż pomimo dużego rozkładu, całego terenu nie opolowano.

— J. K. — W dniu 6 września odbyło się polowanie sztreifami i pędzeniami na kuropatwy w dobrach Skempe, pow. lipnowskiego, u pp. Stanisława i Maurycego Zielińskich. Do południa polowało pięciu strzelców, a po południu — sześciu; ogólnie polowano sześć godzin, na terenie 300-morgowym. Udział brali pp.: Stefan hr. Tarnowski, Władysław ks. Puzyna, Jan Karnkowski, Stanisław i Maurycy Zielińscy oraz administrator p. Kremke. Padło 280 kuropatw; najwięcej miał na rozkładzie p. Jan Karnkowski — 71 sztuk. Należy zaznaczyć, że stan zwierzyny w dobrach Skempe, dzięki pieczołowitej opiece młodych właścicieli, ogromnie się podniósł, kłusownictwo ukrócone zostało, dzięki czemu ogromne ilości zajęcy i kuropatw były widziane w czasie polowania.

Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

DZIAŁ URZĘDOWY.

DELEGACI POWIATOWI.

W dalszym ciągu zgłoszone zostały kandydatury na delegatów powiatowych Związku:

W woj. Lubelskiem:

na pow. Radzyń Podlaski pp. Waldemar Dorja-Dernałowicz, Radzyń Podl., Białka,

oraz Włodzimierz Andrycz, Wohyń, Bojanówka,

na pow. i miasto Siedlce — p. Jerzy Dylewski, Siedlce.

W woj. Nowogródzkiem:

na pow. Nowogródzki — p. Wacław Mackiewicz, Zdzięcioł, Strzała.

W woj. Poleskiem:

na pow. Sarny p. Juljusz Florkowski, Sarny, skrz. poczt. 117,

na pow. Kosów p. Waldemar Kuczyński, Telechany, Nowiny.

W woj. Pomorskiem:

na pow. Świecie pp. inż. Aleksander Wysiński, Iwiec, Wierzchlas, inż. Bronisław Sierosławski, Osie.

W woj. Warszawskiem:

na pow. Radzymin — p. Stanisław Kronenberg, Radzymin, Wawrzyna,

na pow. Rypin — p. Franciszek Gniazdowski, Rypin, Warpalice.

Lista kandydatów ogłoszona drugi raz.

SPRAWOZDANIE

z dorocznego Premjowego Konkursu Wyżłów Dowodnych, urządzonego przez Wielkopolski Związek Myśliwych w Iwnie pod Kostrzynem, maj. Ignacego hr. Mielżyńskiego, dnia 8 września 1930.

Punktualnie o godz. 9,30 rano, jak to zapowiedział program, zebrali się uczestnicy konkursu na punkcie zbornym na szosie prowadzącej od Iwna do Gniezna.

W swem przemówieniu skierowanem do zebranych, zwrócił przewodniczący ppłk. rez. Konstanty Chłapowski, prezes W. Z. M., uwagę na ważność naszych dorocznych konkursów, nadmieniając, że Ministerstwo Rolnictwa było łaskawe przeznaczyć nagrody w postaci jednego srebrnego medala, 2 bronzowych i 3—5 listów pochwalnych. Po ukonstytuowaniu się Komisji Sędziowskiej, która składała się z przewodniczącego, ppłk. rez. Konstantego Chłapowskiego, prezesa WZM.,—generała Antoniego Unruga z Piotrowa, — mecenasa Walentego Garczyńskiego z Warszawy, delegata Pol. Zw. Stow. Łow., — radcy województwa Szczęsnego Radońskiego z Poznania, delegata Min. Roln.,—Franciszka Unruga z Wyszakowa, wiceprezesa W. Z. M., oraz Rocha Nowickiego z Poznania, zaznajomieni zostali zebrani, t. j. sędziowie i menerzy z obowiązującym regulaminem. Ze zgłoszonych 15 wyżłów stanęło do konkursu 10.

Następnie rozpoczęto próby. Niestety, silny, burzowy deszcz, który spadł około południa, utrudniał niezmiernie pracę i aż do późnego wieczora trzeba było kontynuować próby, ażeby konkurs ukończyć.

Poszczególne psy osiągnęły następującą punktację:

1) wyżlica „Diana", właśc. i mener Wojciech Kozłowski z Gorazdowa, osiągnęła

138 punktów

a mianowicie praca za farbą 16 p., praca leśna 27 p., ciętość 0, praca wodna 9 p., praca polna 78 p., aportowanie 8 p.

2) wyżeł „Nero", właśc. i mener Wojciech Kozłowski z Gorazdowa, klasa młodocianych, osiągnął

57 punktów

a mianowicie, praca za farbą 0, praca leśna 9 p., ciętość 0, praca wodna 12 p., praca polna 36 p., aportowanie 0,

3) wyżeł „Rino", właśc. dr. Sonnenburg, Tarnowo podg., mener Feliks Gramowski jr., osiągnął

145 punktów

a mianowicie, praca za farbą 0, praca leśna 36 p., ciętość 24 p., praca wodna 9 p., praca polna 60 p., aportowanie 16 p.,

4) wyżlica „Leda", właśc. i mener Aleksander Gaponow z Poznania, osiągnęła

109 punktów

a mianowicie, praca za farbą 0, praca leśna 24 p., ciętość 0, praca wodna 12 p., praca polna 65 p., aportowanie 8 p.,

5) wyżeł „Peter", właśc. dr. Sonnenburg, Tarnowo podg., mener Feliks Gramowski jr., osiągnął

164 punkty

a mianowicie, praca za farbą 0, praca leśna 21 p., ciętość 24 p., praca wodna 12 p., praca polna 95 p., aportowanie 12 p.,

6) wyżeł „Otello", właśc. i mener Bruno Gramowski z Wymysłowic, osiągnął

173 punkty

a mianowicie, praca za farbą 0, praca leśna 28 p., ciętość 24 p., praca wodna 12 p., praca polna 95 p., aportowanie 14 p.,

7) wyżeł „Lord", właśc. i mener Bruno Gramowski z Wymysłowic, został podczas konkursu przez właściciela wycofany.

8) wyżlica „Herta", właśc. i mener Franciszek Ciupiński z Lechlina, osiągnęła

138 punktów

a mianowicie, praca za farbą 0, praca leśna 25 p., ciętość 1 p., praca wodna 6 p., praca polna 94 p., aportowanie 12 p.,

9) wyżeł „Bekas", właśc. i mener leśn. Edmund Szymaniak z Czekanowa, osiągnął

151 punktów

a mianowicie, praca za farbą 0, praca leśna 28 p., ciętość 18 p., praca wodna 12 p., praca polna 85 p., aportowanie 8 p.

10) wyżlica „Kora", właśc. książę Lubomirski z Przeworska, mener leśn. Edmund Szymaniak z Czekanowa, osiągnęła

127 punktów

a mianowicie, praca za farbą 0, praca leśna 17 p., ciętość 4 p., praca wodna 12 p., praca polna 90 p., aportowanie 4 p.

Zaraz po ukończeniu prób przystąpiła Komisja Sędziowska do oceny pracy psów. Ponieważ ze wszystkich psów w bardzo ważnej pracy za farbą uzyskała tylko „Diana" 16 punktów, która w innych dziedzinach pracowała średnio, a inne lepsze psy nie uzyskały przewidzianych w regulaminie, 15 punktów za farbą, przeto uchwaliła Komisja Sędziowska żadnemu z konkurentów nie przyznać pierwszej nagrody, wyrażającej się w srebrnym medalu Min. Roln. i 300 zł. gotówką, dotowanych przez W. Z. M. Przyznano zatem:

II. nagr. 200 zł., bronzowy medal Min. Roln. oraz list pochwalny WZM. leśn. pryw. Brunonowi Gramowskiemu z Wymysłowic za psa „Otello", który otrzymał 173 punkty, mener leśn. B. Gramowski.

III. nagr. 150 zł., bronz. medal Min. Roln. oraz list pochwalny WZM. dr. Sonnenburg z Tarnowa podg. za wyżła „Peter", który uzyskał 164 punkty, mener Feliks Gramowski jr.,

IV. nagr. 75 zł., list pochwalny Min. Roln. i list pochwalny WZM. leśn. pryw. Edmundowi Szymaniakowi z Czekanowa za wyżła „Bekas", który uzyskał 151 punktów, mener Edmund Szymaniak,

V. nagr. 50 zł., list pochwalny Min. Roln. i list pochwalny WZM. dr. Sonnenburg z Tarnowa podg. za wyżła „Rino", który uzyskał 144 punktów, mener Feliks Gramowski jr.,

List pochwalny Min. Roln. i list pochwalny WZM. za pracę za farbą leśn. pryw. Wojciechowi Kozłowskiemu z Gorazdowa za wyżlicę „Diana", która uzyskała 138 punktów, mener Wojciech Kozłowski,

List pochwalny Min. Roln. i list pochwalny WZM. leśn. pryw. Franciszkowi Ciupińskiemu z Lechlina za wyżlicę „Herta", która uzyskała 138 pkt., mener Fr. Ciupiński.

Komisja Sędziowska uznała ogólny materjał psów za dobry, chociaż nie znajdował się pomiędzy nimi ani jeden zupełnie wybitny, natomiast skrytykowała niezupełnie dobre prowadzenie przez niektórych menerów, co też p. prezes Chłapowski przy swem końcowem przemówieniu i odczytaniu przyznanych nagród zaznaczył wyraźnie. Również wyraziła Komisja Sędziowska swoje ubolewanie, że nie stanęło do konkursu kilka psów tropowców (jamników, terierów i t. p.), a to mianowicie z tego powodu, że przy obecnie dobrym stanie jeleni w naszem województwie, brak tych psów daje się zauważyć, a mianowicie w rewirach państwowych, w których teraz polowanie na jelenie (podczas rykowiska) się wydzierżawia.

Dziękując zebranym, a mianowicie gospodarzowi p. Ignacemu hr. Mielżyńskiemu, który rok rocznie nie szczędząc trudów i kosztów, łowisko swoje stawia Wielkopolskiemu Związkowi Myśliwych do dyspozycji, p. delegatowi Ministerstwa Rolnictwa radcy Szczęsnemu Radońskiemu, p. mecenasowi Garczyńskiemu, delegatowi Pol. Zw. Stow. Łow. w Warszawie, oraz straży leśnej w Iwnie z p. nadleśn. Piszczygłową na czele, za owocną współpracę, p. płk. Chłapowski zamknął konkurs o godz. 8 wiecz.

W. BRONIKOWSKI.

Z TOW. ŁOW. WOJEW. WILEŃSKIEGO.

W czasie pobytu p. ministra rolnictwa, L. Janty-Połczyńskiego w Wilnie, p. Michał K. Pawlikowski przedstawił mu w imieniu Towarzystwa Łowieckiego województwa wileńskiego stan i bolączki miejscowego łowiectwa, wskazując konieczność pomocy finansowej ze strony Państwa dla tego Towarzystwa. P. minister przyrzekł petycję rozpatrzeć.

Towarzystwo robi przygotowania do zmiany statutu w celu przekształcenia się na Towarzystwo Łowieckie Województw Wschodnich z możnością przyjmowania do Towarzystwa—kółek myśliwskich w charakterze członków wspierających.

Wiadomości bieżące.

— **Znakowana czapla.** — W końcu lipca zabiłem na terenie swego gospodarstwa rybnego w maj. Radzimowice, pow. Mławski **czaplę z aluminiową obrączką** na nodze z napisem Vogelwarte-Rossitten oraz numerem. Po przeprowadzeniu korespondencji okazało się, iż pierścień ten został założony przez batalјon strzelców stacjonowany w Ortelsburgu jeszcze przed wylotem czapli z gniazda dn. 23 maja 1930 r. niedaleko od leśnictwa Adlershorst (nadleśnictwo Grünfliets) około 10 km. na wschód od Niedenburg w Prusach Wschodnich. — Wiktor Bagieński (delegat na pow. Mławski).

— **Wywóz zwierzyny.** — Prof. dr. Jan Rostafiński podaje w „Przeglądzie Hodowlanym" (Nr. 6, rok IV) długi szereg danych cyfrowych o eksporcie produktów zwierzęcych z Polski w roku 1929. Ogółem za wywóz powyższy uzyskano 640,838,480 zł. Z tego przypada na wywóz zwierzyny 2,433,000 zł., na pióra ozdobne 221,000 zł., a na rogi i skóry—56,855,000 zł.

— **Zbrodnicza zemsta kłusowników.** — Na szosie między Szydłowem a Siedliskami na Śląsku Opolskim rozpięli nieznani ludzie linkę drucianą wzdłuż drogi. Przejeżdżający na rowerze leśniczy Kromer najechał na drut tak silne, że przeciął sobie nim gardło, co spowodowało natychmiastową śmierć. Ma to być zemsta kłusowników, których Kromer niedawno przychwycił na kłusownictwie.

Wiadomości zagraniczne.

— **O opłatę za broń.** — Charakterystyczny fakt z pruskich stosunków myśliwskich ujawniony został przez Pruski Związek Łowiecki, który ogłosił co następuje: „W ostatnich czasach władze przy wydawaniu świadectwa na nabycie broni żądają jeszcze opłaty od tych, którzy posiadają roczną kartę myśliwską. Opłata wynosi 2 do 3 m. Takie żądanie jest bezprawne".

— **O cenę używanej broni.** — P. K. Demmel pisze w „D. Jaegerz" (37): Znaczna część czytelników pism myśliwskich interesuje się oczywiście działem ogłoszeniowym. Kto zna się na broni i z nią się zżył, znajduje w ogłoszeniach tych różne niedokładności, a niekiedy specjalną manipulację. Ceny podane są nieściśle, bo sprzedawca umyślnie zaznacza, że zapłacił za broń więcej, gdyż to mu pozwala żądać teraz wyższej ceny za odstąpienie. Zdarzały się też naprzykład takie wypadki: Ogłaszają, że za Sauera kal. 6,5×32, który kosztował 150 m., żądają 125 m. Faktycznie jednak nowa broń taka kosztuje tylko 115 m. Dalej jest ogłoszenie, że za Sauera, dubeltówkę 16 z różnemi ulepszeniami, która kosztowała 350 m., żądają tylko 135 m. Tymczasem cena nowej broni takiej wynosi tylko 250 m.

— **O „króla" polowania.** — „D. Jaegerz." (37) zajmuje się sprawą królów na polowaniach, pisząc między innemi:

Pojęcie „króla" pochodzi zapewne od nazwy „króla" kurkowego na zawodach strzelniczych. Lecz o ile można się z tem zgodzić w tym ostatnim wypadku, kiedy chodzi o rekordową ilość strzałów, o tyle nazwa ta jest nieodpowiednia na polowaniu, gdzie ilość ubitych sztuk nie powinna wcale grać dominującej roli. Nie odpowiada także godności myśliwego uganianie się za największą ilością sztuk zabitych, które prowadzi w rezultacie do nadmiernego tępienia zwierzyny. Nie bywa to zresztą często zasługą myśliwego, lecz lepszego gatunku broni, ilości posiadanych nabojów i — przypadku.

— **Tragiczny wypadek w zwierzyńcu.**—W zwierzyńcu miasta Los Angeles, w Kalifornji, zdarzył się wypadek tragiczny, dowodzący, jak należy czuwać nad dziećmi przy oglądaniu dzikich zwierząt w klatkach. W dziale wielkich kotów zwierzyńca wspomnianego, chłopczyk, stojący z matką przed klatką, zawierającą tygrysa bengalskiego, pragnąc przypatrzeć się bliżej zwierzęciu, podpełzł pod barjerę, oddzielającą klatki od publiczności, i zbliżył się do samej klatki. W tejże chwili tygrys wysunął nagłym ruchem łapę przez kraty klatki i wpił straszne swe pazury w głowę dziecka z taką siłą, że rozpłatał mu czaszkę. Na krzyk matki nadbiegł jeden z dozorców i usiłował uwolnić okropnie zranionego chłopca, ale tygrys tak mocno trzymał go pazurami, że dopiero gdy dozorca zabił tygrysa dwoma strzałami, można było wydobyć z pazurów drapieżnika, już tylko, niestety, zwłoki dziecka.

Bibljografja Łowiecka.

„Słowo" w Dodatku Łowieckim za sierpień zamieściło: „Nad wielkim Kasajem" M. — „P. minister rolnictwa interesuje się łowiectwem". „Nieśmiertelne wilki" — „Od Redakcji". — „Pluszcz wodny" Stefana Rószkiewicza. — „Nieco o wronie" Leopolda Paca — Pomarnackiego. — „Fałszywy alarm". — W obronie kaczki" Józefa Drozdowicza i M. P. — „Z T-wa Łowieckiego Wojew. Wileńskiego. — „Skrzynka pocztowa" M. P.

„Echa Leśne" nr. 9 przynoszą szereg ciekawych wiadomości zarówno z dziedziny fachowo - leśnej, jak i kultuarlnej, literackiej. Na treść składają się następujące artykuły: W. Klimaszewski: O lotnych piaskach, Inż. Jan Kosina: Wrażenia z przejażdżki po południowo - wschodniej Małopolsce, Inż. Ludwik Henszel: W odpowiedzi autorowi artykułu: Czy są lasy na Syberji: „Echa Łowieckie": Inż. J. Kostyrko: Hodowla zwierząt futerkowych, Życie zwierzyny we wrześniu. Z niwy leśnej: Poświęcenie sztandaru szkolnego w Białowieży, Bolesław Zmitrowicz: Pan Prezydent w Smorgoniach, Wycieczka do Puszczy białowieskiej. Dział rozmaitości: Józef Jankowski: Marja Koźniewska, Marja Ring: Las (wiersz) Esbe: Z miesiąca, Rzeczy ciekawe: Powieść i nowela: Janusz Stępowski: Pielgrzym pod dzwonnicą (dokończenie), Aleksander Janta - Połczyński: Matecznik. Kącik Rozrywkowy.

Skutki tego fatalnego stanu rzeczy nie dały na siebie długo czekać. Ludzie, pozbawieni cukru, zaczynali słabnąć, wiednąć, niknąć w oczach. Szczególniej dało się to zauważyć u osób anemicznych, nerwowych i delikatnych. Każda czynność wymagała wielkiego wysiłku, najmniejszy wysiłek pociągał za sobą niewspółmierne z nim zmęczenie i wyczerpanie. Nerwy zaczynały odmawiać posłuszeństwa, mięśnie wiotczały, źródła energji witalnej wysychały w przyśpieszonem tempie.

Następowała depresja duchowa, przygnębienie, apatja, zanik woli, osłabienie pamięci, przytępienie władz umysłowych. Machina myślowa działała leniwie, mózg stał się niezdolny do wykonywania najprostszych kombinacyj, światopogląd ulegał przesadzającemu zwątpieniu. Nerwy wykazywały niesłychaną podatność do wszelkiego rodzaju wstrząsów. Histerja, neurastenja, melancholja wkraczały tryumfalnie na teren, wyjałowiony z cukru.

Na ten stan fizycznego osłabienia, wyczerpania nerwów, stępienia władz umysłowych i duchowej depresji złożyło się niewątpliwie mnóstwo czynników natury materjalnej i moralnej. Jednym z nich, kto wie, czy nie pierwszorzędnego znaczenia, był brak cukru. Wprawdzie ten cukier w postaci związków organicznych spożywać można było w mleku, chlebie, warzywach, owocach świeżych i suszonych, ale dla ludzi, przyzwyczajonych od dzieciństwa do częstych dawek czystego cukru w herbacie, kawie, czekoladzie, w napojach chłodzących, jak lemoniada, oranżada, orszada, w konfiturach, kompotach, konserwach owocowych, marmeladach, powidłach, galaretkach, kremach, lodach, wszelkiego rodzaju leguminach, ciastkach, biszkoptach, piernikach, racuszkach, naleśnikach, cukierkach, czekoladkach, karmelkach, hałwie i innych swojskich i egzotycznych słodyczach, — raptowny ich brak w codziennem menu był wprost katastrofalny.

Odbiło się to zwłaszcza na ludziach, pracujących umysłowo, na dzieciach, na młodzieży w okresie rozwoju, na matkach karmiących i ich potomstwie. Trzeba było niejednokrotnie stosować dłuższą kurację odżywczą, aby odbudować tkanki organizmu, wycieńczonego parumiesięcznym postem cukrowym.

Nie wszystkie jednostki przetrwały szczęśliwie do lepszych warunków. Organizmy słabsze padały ofiarą wycieńczenia, któremu zapobiec już nie mógł spóźniony ratunek. Ginęły z braku cukru, tego ważnego czynnika energji witalnej, źródła radości życia, niewyczerpanej kopalni skarbów odżywczych dla organizmu człowieka.

Wiadomości handlowe.

— **Hodowla skunksów.** — Z obszerniejszej pracy p. M. Trybulskiego, zamieszczonej w „Drobiu Polskim", przytaczamy trochę szczegółów dotyczących hodowli skunksów:

Rozróżniamy kilka odmian skunksa. Najbardziej cenione są o ciemnych futerkach. Niestety, ciemne skunksy są stosunkowo trudniejsze do hodowli, gorzej się rozmnażają i są mniej płodne.

Wielkość skunksa jest bardzo różna i waha się od 32 cm. do 50 cm. Te ostatnie, żyjące w dzikim stanie w Ameryce Północnej, są najbardziej poszukiwane i najchętniej hodowane, gdyż dają najlepsze skórki i największy stosunkowo procent ciemniejszych futer. Jedne z nich, należące do najwyższej klasy, dają futra ciemne, inne — z białą plamą na łopatkach. Najbardziej rozpowszechniony „Conepatus", o dużych, białych plamach na grzbiecie, daje najgorsze futro, które w handlu zalicza się do futer 4-ej kategorji.

W ostatnich czasach rozwijać się zaczyna hodowla skunksów, która daje coraz lepsze wyniki i zarówno w Ameryce, jak i w Europie, znajduje się sporo farm, trudniących się hodowlą tych zwierząt. W Europie skunksy hodują się zupełnie pomyślnie i dają dobre futerka.

Hodowlę skunksów można urządzić wszędzie. Najodpowiedniejsze miejsce dla tej hodowli będzie w sadzie, między drzewami owocowemi, w parku, lub rzadkich zaroślach.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł
Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za powtórny numer — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.**
Drobne ogłoszenia po 10 gr. za wyraz; grube litery — po 20 gr. Agentom niewolno pobierać zaliczek.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—**Redaktor przyjmuje** w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.
Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**

Baczność! PP. Uczestnicy Konkursu fotograficznego!

W niniejszym numerze zamieszczamy po raz ostatni warunki konkursu fotograficznego „Łowca Polskiego". Z dniem bowiem 1 października kończy się termin wysyłania okazów fotograficznych do redakcji. Uwzględnione będą jedynie te przesyłki, których stempel pocztowy będzie miał datę najpóźniej 1 października włącznie.

Do PP. Prenumeratorów kwartalnych.

Do niniejszego numeru załączamy przekazy P. K. O. z uprzejmą prośbą o nadesłanie należności za IV kwartał jaknajprędzej, by w ten sposób uniknąć nieprzyjemnego dla obu stron, wstrzymania wysyłki „Łowca Polskiego".

Do PP. Prenumeratorów kwartalnych.

Do niniejszego numeru załączamy przekazy P. K. O. z uprzejmą prośbą o nadesłanie należności za IV kwartał jaknajprędzej, by w ten sposób uniknąć nieprzyjemnego dla obu stron, wstrzymania wysyłki „Łowca Polskiego”.

Baczność! PP. Uczestnicy Konkursu fotograficznego!

W niniejszym numerze zamieszczamy po raz ostatni warunki Konkursu fotograficznego „Łowca Polskiego”.

Z dniem bowiem 1 października kończy się termin wysyłania okazów fotograficznych do redakcji.

Uwzględnione będą jedynie te przesyłki, których stempel pocztowy będzie miał datę najpóźniej 1 października włącznie.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.